

WYRÓŻNIENIE

Konrad Karpowicz

„Zasady zdrowego żywienia”

Obudzić się w takim właśnie miejscu, pozwalając oczom, aby pohasały sobie po lekko zachmurzonym niebie, zaczepiły się swobodnie o gładkie grzbiety ptaków i pozwoliły się przez nie wynieść wysoko w chmury, gdzie niewidoczne dla mnie, a oczywiste dla nich silne prądy powietrza tyranizują przestrzeń, dając nam – istotom naziemnym – złudne uczucie spokoju zamkniętego w tym pozornym bezruchu. Obudzić się na tej smolisto-czarnej, tłustej glebie, w każdym centymetrze obficie wypełnionej najróżniejszymi formami dopiero co powstającego oraz przekwitającego już życia, którego głównym i chyba jedynym celem jest możliwie jak najdłuższe przetrwanie w symbiozie z otaczającym je światem lub też bez owej fenomenalnej zależności... nieważne, byle tylko do przodu. Przypominało mi to budzące się właśnie ze snu delikatnie kreślące w nasiąkniętym mżawką powietrzu kontury pobliskiego miasta, które zapewne, gdyby oglądać je z grzbietu jednego z krążących nade mną ptaków, okazałoby się osadzone pośrodku owej smakowitej gleby jak tandetny jarmarczny obraz w fikuśnej barokowej ramie.

Na liściach niewielkiego drzewa, pod którym zasnąłem i którego korzeni użyłem jako nadzwyczaj niewygodnej poduszki, mżawka zaczęła łączyć się w krople, a krople w strumyczki spływające środkową krawędzią liścia wprost na mnie. Było ciepło. Usadawiłem się wygodnie pod drzewem, nie przejmując się przemoczonymi ciuchami. Coś uwierało mnie w przedniej kieszeni dzinsów. Powoli wsunąłem do niej rękę i wyciągnąłem niedbale włożony portfel. O cholera, wygląda na to, że wydałem wczoraj sporo kasy, poza tym dokumenty były w porządku i do tego jakimś cudem były suche. Posiedzę jeszcze trochę i popatrzę na deszcz. Piękno owej chwili pozwoliło zapomnieć czającą się gdzieś w zanadrzu obolałej czaszki myśl o nieuniknionej wizycie w banku. Chodziłem tam jeszcze nie tak dawno temu z rodzicami.

Bez troski, radosny stan umysłu zamienił się nagle w smutek, straszliwe szarpanie w sercu. Deszcz, z miękkiego przyjaznego prysznica, przeistoczył się w płacz, w żalobną pieśń o dwóch istotach kiedyś tam na niedługą chwilę odwiedzających tę dziwną planetę, pieśń o tym, jak się odnalazły, zauroczyły, zakochały, jak dały początek nowemu życiu, o które przepięknie dbały i chroniły od zła; jak czas niszczący kamienie i serca ludzkie nie odjął nawet najmniejszej znanej nam miary od ich miłości; pieśń o ich nagłym zejściu tego przekłętego dnia, kiedy to podczas podobnego jak dzisiaj poranka ciągle się śmiali, pełni życia, a późnym popołudniem już ich nie było; o tym, jak przyniesiono chłopcu wiadomość, że to, co było, już nie powróci i że on, ten młody chłopiec nie zgodził się, aby zapomnieć; pieśń o tym, jak chłopiec podrośł i zagubił się na tej drodze, o tym, jak siedzi teraz pod drzewem i nie wie, czy to deszcz, czy łzy spływają mu po lekko napuchniętej twarzy. Trzeba się wziąć do kupy, nie pozwolić na ten spacer na krawędzi czarnej dziury, bo gdy już wchłonie człowieka, nie można się z niej dniami wygramolić.

Bolesny żal, czyli szarpanie w sercu można czasami przezwyciężyć, można oszukać siebie samego mózgiem-pasożytem. On wyciąga z mojego organizmu najlepsze soki, żyje sobie jak pączek w maśle, ja natomiast zbieram pozostałe resztki oraz cały ból, gdyż mózg nie posiada własnych nerwów, on jedynie zarządza moimi, co daje mu nade mną olbrzymią przewagę; jestem po prostu najzwyklejszą marionetką, której setki cienkich, prawie że niewidocznych sznureczków pociągają hormony, enzymy, witaminy, minerały, tłuszcze, węglowodany, proteiny oraz kilka innych substancji, którymi zarządza właśnie on. Wybaczam mu więc to, że okrada mnie z najlepszych substancji, on z wdzięczności lub też z najnormalniejszego pospolitego strachu wybawia mnie logiczną analizą sytuacji z wszelkiego rodzaju bólów egzystencjonalnych, jak i czarnych dziur.

Wstałem, otrzepałem ubranie z przyczepionej do niego trawy, i ruszyłem w stronę miasta. Rozkopany, popękany chodnik ciągnął się wzdłuż najruchliwszej, a przez to najbardziej hałaśliwej ulicy, która niejednego delikwenta z rozstrojeniem nerwowym, niedoborem magnezu lub też po prostu czułym słuchem, doprowadzała do wrzenia. Zabawny jest fakt (równie dobrze można powiedzieć: okrutny jest fakt), że obok najgłośniejszej ulicy, gdzie dwie dodatkowe jezdnie łączyły się w skrzyżowanie, usytuowana została szkoła muzyczna z wybudowanym obok parkiem w stylu orientalnym. Ogród wybudowano w szesnaście dni. Zakończono go postawieniem przysłowiowej kropki nad i, czyli wybudowaniem małej stylowej muszli koncertowej z uprzednio przygotowanych elementów w celu szybkiego montażu. W sobotę zadowolony z siebie projektant uściśnął rękę dyrektora szkoły, zainkasował kopertę z zawartą w niej sporą gotówką niewiadomego pochodzenia, jak głosi plotka, była to pomoc od zamożnych rodziców mało utalentowanych uczniów, i odjechał, pozostawiając po sobie jedynie butelki po wykwintnych likierach.

W poniedziałek odbyło się oficjalne otwarcie nowego przybytku. Przypadek lub też celowe destrukcyjne działanie sił ciemności unoszących się od wieków nad miastem sprawiło, że w tym samym czasie otwarto pobliskie, świeżo wyremontowane skrzyżowanie. Samochody zdawały się być niezmiernie szczęśliwe z powodu odzyskania ulubionego kawałka asfaltu. Rozdrażnione długim uwięzieniem decybele w końcu mogły od nowa poszumieć. Łatwo sobie wyobrazić takie otwarcie, gdzie muszla koncertowa, zamiast nagłaśniać instrumenty, idealnie nagłaśnia hałas z naprzeciwka.

W tym momencie przypomina mi się historia Jasia, absolwenta szkoły muzycznej. Otóż młody Jasio był jednym z wielu wybitnie nieutalentowanych uczniów. Nie był obdarzony ani wiedzą, ani mądrością, ani też specjalnie wyróżniającą się inteligencją. Nie mówię, że był głupi, stwierdzam jedynie, że zdecydowanie nie był błyskotliwym przedstawicielem swojej płci. Natura jednak, aby wyrównać nieprawidłowy balans, obdarzyła go niesamowitym uporem. Każdego wieczoru oddawał się bezmyślnym wędrówkom pilotem po kilkuset kanałach, będącym jego jedyną pasją. Przeciętą fascynacją programem trwała około 20 sekund, co po przebiegnięciu wszystkich, dawało ponad godzinę rozrywki tak intensywnie przeładowanej danymi, że biedaczek zasypiał z przemęczenia. Pewnej pamiętej nocy zmęczone od ciągłego przełączania programów palce odmówiły posłuszeństwa. Na ekranie pojawił się napis „Clint Eastwood”, co przyciągnęło uwagę Jasia i zachęciło do

dalszego oglądania filmu pod tytułem „Bird” – westernu, jak się spodziewał. Po godzinie oglądania, co zresztą było absolutnym rekordem, zorientował się, że skoro do tej pory nie ma strzelania, to chyba już nie będzie. Nieważne, w końcu zrozumiał lub też zostało mu objawione, nie o to chodziło. Muzyka: tak, to było to. Chociaż od początku spragnionym wzrokiem wyszukiwał nieobecnej według niego akcji, coś go intrygowało, coś nie pozwalało przełączyć pomimo dawno wypoczętych palców. Muzyka: tak, to było to, czego poszukiwał. Przedtem, to znaczy godzinę temu, nawet nie wiedział, że czegokolwiek poszukiwał. Teraz już wiedział, był pewien swego powołania, przepadł dla jazzu. Postanowił, jak Charlie Parker, zostać wielkim pianistą, gdyż tak właśnie wywnioskował z filmu. Od owego pamiętnego momentu Jasio zmienił się nie do poznania. Zaczął słuchać jazzu, zmienił styl rozmowy, co zaowocowało niewielkim, aczkolwiek widocznym, wzrostem inteligencji; po kryjomu szeptał coś do siebie, chodził wolniej i dostojniej, trzymając za sobą dłonie złączone w tajemniczym splocie.

Rodzice Jasia byli na owe miasto przyzwoitym, średnio zamożnym małżeństwem. Dorobili się minifortuny, składając z części sprowadzonych nie wiadomo skąd niskiej jakości kasety magnetofonowe o równie niskiej cenie, co było ich największym atrybutem. Zbigniew i Zofia Zupa, gdyż tak się nazywali, jak większość ssaków nienagannie dbali o swoje potomstwo: myli, karmili, w ciężkich chwilach dodawali otuchy, a nawet śpiewali do snu przekazywane z pokolenia na pokolenie lub zasłyszane w radiu piosenki. Nie dziwny więc był fakt, że martwiono się o jedyne dziecko, jedyne spadkobiercę minifortuny, który nie przejawiał zainteresowania niczym prócz telewizji, nie wspominając już nawet o sprawach tak skomplikowanych jak produkcja niskiej jakości kaset magnetofonowych. Łatwo sobie wyobrazić, jak bardzo uradowali się zrozpaczeni rodzice z nagłej zmiany w życiu jedynaka. W domu Zupów pojawił się wysokiej klasy sprzęt muzyczny, stare pianino oraz wyrafinowana, obszerna kolekcja płyt jazzowych zakupionych od niejakiego Tadeusza P., byłego muzyka, który to stopniowo wpędzając się w nałóg komputerowy, sprzedał wszystkie starannie zgromadzone przez lata nagrania.

Całe kawiarniano-artystyczne towarzystwo, w którym obracał się teraz Jasio, nie zorientowało się, że on po prostu nie rozumiał poruszanych wśród nich przeważnie głębokich, egzystencjonalnych tematów. Pośród owego kręgu pseudoprzyjaciół zachowywał się według zasłyszanej gdzieś wypowiedzi: „Lepiej milczeć i być uważnym za głupca, aniżeli raz się odezwać i rozwiać wszelkie wątpliwości”. Manipulował więc ciszą i do tego robił to wyjątkowo zręcznie, dlatego wcześniej celowo zaznaczone zostało, że Jasio nie był głupi.

Pewnego dnia nadzwyczaj poważnym, przemyślanym głosem opowiedział ojcu o drzemającej w nim nieodpartej ochocie poznania sekretu produkcji niskiej jakości kaset magnetofonowych. Przez cały tydzień ćwiczył przed lustrem starannie wyuczoną kwestię: „Ojcze, uważam, że nadszedł czas, abym poznał chroniony przez ciebie i mamę sekret produkcji niskiej jakości kaset magnetofonowych. Sądzę, iż jestem gotów na ten jakże istotny krok w życiu każdego Zupy”. Miał plan. Przy użyciu odrobiny właśnie rodzącej się finezji oraz dobrze znanych odpowiednich technik manipulacji zamierzał osiągnąć cel. Na dźwięk tych słów ojciec prawie oszalał z radości, odzyskał zagubionego na tak długo syna. Najpierw ta muzyka a teraz to, pomyślał. Zorientował się, że to właśnie muzyka spowodowała nagłe doróżnienie syna, postanowił więc zainwestować w jego artystyczną edukację.

W szkole muzycznej, do której Jasio zaczął uczęszczać, miał specjalne względy z uwagi na dodatkowe wsparcie finansowe rodziców, którzy wraz z dwoma innymi małżeństwami zasponsorowali wynagrodzenie dla architekta parku. Państwo Zbigniew i Zofia Zupa znakomicie zdawali sobie sprawę z – delikatnie mówiąc – niewielkiego potencjału jedynaka, słyszeli bowiem, jak ćwiczył i pomimo słabego słuchu muzycznego, byli w stanie ocenić jego mierne rezultaty. Cóż, dlatego wcześniej celowo zaznaczone zostało, że Jaś nie był mądry.

Dzięki pomocy rodziców wpływającej na przychyłność nauczycieli jako jedyny z grona trzech osób mógł decydować o godzinie, treści oraz miejscu swojego egzaminu. Na każdy egzamin komisja oraz słuchacze zbierali się naprzeciwko muszli koncertowej o zarządzanej przez egzaminowanego godzinie trzeciej trzydzięci. O tej właśnie godzinie, jak słusznie obliczył, hałas powodowany znajdującą się nieopodal jezdnią osiągał apogeum, co pozwalało na swobodne granie, czy też, jak to się potocznie mówi – bez owijania w bawełnę – udawanie grania nawet najtrudniejszego utworu. W taki oto sposób Jasio z wynikiem bardzo dobrym ukończył muzyczną edukację. Ponoć próbował dostać się na studia na jakiejś mało prestiżowej uczelni. Odrzucono go jednak, gdyż jak stwierdzono, przystąpił do egzaminu nietrzeźwy. Nikomu bowiem z egzaminujących nie przeszło nawet przez myśl, że pomimo oceny bardzo dobrej na końcowym świadectwie, nie umiał grać.

Lekki wiatr rozgonił chmury, słońce obdarowało miasto swoimi promieniami, za który to podarunek wielce podziękowałem, ponownie wybuchając radością, która promieniując być może rozjaśni czyjeś śniadanie i zamiast na przykład czyta gazety, ucieszony zacznie śpiewać, a na dodatek pobiegnie do piekarni, kupi świeże, jeszcze gorące, obficie posypane słonecznikiem razowe bułeczki i zrobi śniadanie swojej niespodziewającej się niczego, śpiącej pani, o której już być może, pomimo iż są razem od wielu lat, lekko zapomniał. Usiądą razem przy stole, ona nie włączy radia, on wyrzuci resztki gazety, której użył jako siatki na pieczywo, spojrzą na siebie tak jak kiedyś i opowiedzą wzajemnie historię z czasów, kiedy ich nie było, a w pracy promieniować będzie od nich radość i niecierpliwość powrotu do domu.

Tak, radowałem się i nie zauważyłem, kiedy bank, do którego zmierzałem, pojawił się nagle jak straszliwe cygańskie marzenie.

- Za piętnaście minut otwierają - powiedział jeden z dwóch starszych mężczyzn czekających przed budynkiem. Wygląda na to, że swoją obecnością przeszkodziłem im w dyskusji, oddaliłem się więc o kilka metrów, usiadłem na schodach, udając brak zainteresowania.

- Mój syn to tak jak pański Antek tych szkół tyle pokończył i ten Uniwersytet, kurna felek, z tymi komputerami, a gwoźdźnia nie umi wbić, a do łopaty to ma mięśnie z plasteliny. Moja stara mówi, że tak to już dzisiaj jest, że są robotniki i te od komputerów, że robotniki nie wiedzą, od której strony z techniką, a uczone na bakier z łopata. Taki, kurna felek, świat, a człowiek musi płacić za te szkoły, bo to ponoć lepsza przyszłość. Jak nie chcę płacić, to baba się zaprze, a postaw się pan, to tylko problemy sam pan wiesz – zakończył lekko poddenerwowany.

- Tak, panie Wiesiu, lepiej robić, co każe, wtedy jest spokój, przeciwstawić się kobiecie to wbrew naturze, a wiadomo, że natura karze tych, co z nią nie bardzo. Takiego adidasa na przykład z Afryki – człowiek z małpą, tego, wiesz pan, o co chodzi. I co, lipa, komar pana ugryzie z takim adidasem – trup na miejscu, i komar, i pan. Jak niedawno byłem w Ameryce, to widziałem takich na ulicy.

- Nie bał się pan lecieć samolotem? – powiedział szczerze zaintrygowany, po czym zdecydowanie dodał: – Ja bym się, kurna felek, bał. Jak taka fura żelastwa walnie o ziemię, to koniec.

- Trochę się bałem. Na początku mniej, później bardziej, jak się zaczął trząść, to się skapowałem, że to plastik.

- Plastik! – krzyknął zaoferowany Wiesio.

- Plastik, panie, jak w trabancie. Gul mi skoczył, bo myślałem, że już nigdy nie zobaczę wnuków, co prawda pół chińczyki, bo Antek się ożenił z taką jedną Japonką, ale już żeśmy ze starą oplakali i wybaczyli, że tak bez naszej zgody, ważne, że są szczęśliwi... Zasłoniłem okno, bo mają takie specjalne wbudowane żaluzje i upiłem się, no i usnąłem.

- No to dobrze żeś pan nie spanikował.

- Eeee no trochę to spanikowałem – szczerze wyznał lekko zawstydzony X.

- Ale wiedziałeś pan, gdzie szukać pomocy, znaczy się, wiedziałeś pan, gdzie dają te flaszki na uspokojenie, a to znaczy, że nie było tak źle.

- Słuchaj pan dalej – ciągnął X. – Odsuwam do góry tą plastikową żaluzję, a tu, panie Wiesiu, gwiazdy. Na górze to normalne, że są, no nie, ale na dole też były. Ja myślał, że my w kosmosie. W tym trabancie w kosmosie. Pomyślałem, że pilot się pomylił z tymi kierunkami, każdemu się zdarza. Pierwszy raz w życiu ogłupiałem ze strachu, a tu nagle w megafonie stewardessa mówi, że teraz przelatujemy nad jakimś tam wielkim miastem, mówię panu, panie Wiesiu, kamień mi spadł z serca, jak się skapowałem, że to na dole to światła tego miasta, no a później zrobiło mi się trochę głupio, ale chyba nikt nie zauważył mojej paniki.

- Kurna felek, no to żeś pan przeżył, na samą myśl chce się coś wypić.

- Aaa, to panie Wiesiu wcale nie taki zły pomysł.

Tak, tak – pomyślałem: człowiek podobnie jak i powierzchnia ziemi zawiera około 70% wody, przez co przyjmowanie płynów jest czynnością niezbędną. Dwa litry dziennie zdecydowanie zapobiegają odwodnieniu, a odwodnienie to rzecz niebłaha. Najwyraźniej pan X oraz grubawy pan Wiesio zaznajomieni byli z nie każdemu znanymi zasadami zdrowego odżywiania się.

Na twarzach czekających osób pojawiło się zadowolenie, kiedy przybyła w towarzystwie ochroniarza postać, jak przypuszczałem, menadżera banku, otworzyła drzwi. Po dłuższej chwili ocknąłem się z oczyszczającej bezmyślności, wstałem, otrzępałem brudne od trawy niedoschnięte spodnie i wszedłem do środka. Wewnątrz wziąłem powiadamiający o mojej kolejności numerek, po czym wygodnie usadowiłem się na skórzanej kanapie, która to swoją wykwinnością onieśmielała oburzonych moim nieświeżym ubraniem, stojących klientów.

Było mi dobrze. Miałem nadzieję na długi pobyt wewnątrz, ponieważ po pierwsze, jak wcześniej zaznaczyłem, było mi dobrze, po drugie lubię przebywać wewnątrz monumentalnych budynków, starych czy nowych, nieważne, czym większe, tym lepsze. Świadom jestem, że swoją wielkością mają zastraszać, uświadamiać o ludzkiej niższości, a nawet poniżać, ale mnie to jakoś nie rusza. Po trzecie, lubię obserwować ludzi, mogę nawet powiedzieć, że jest to jedno z moich wielkich życiowych zainteresowań. Sposób, w jaki się poruszają, o czym rozmawiają, jak zachowują się w podobnych sytuacjach – u jednych można zauważyć wariacje podobnych uczuć lub też uczuć pokrewnych, u innych zupełnie niespodziewane reakcje, tak jakby nie całkiem należeli do *homo sapiens*, jakby byli jakimś odrębnym gatunkiem nazwanym zapewne ku czci pewnego bliżej nieokreślonego przedstawiciela owego gatunku *homo sapiens bzikus*, niekoniecznie gorszym, niekoniecznie lepszym, po prostu innym. Z obydwu gatunków interesował mnie najbardziej *homo sapiens normalis*, ponieważ zdecydowanie do niego nie należałem. Niezupełnie też należałem do *homo sapiens bzikus*, ale zdecydowanie więcej miałem wspólnego z nim aniżeli z *homo sapiens normalis*, którego chyba w ogóle nie rozumiałem i dlatego podjąłem się owego trudnego, ale przyjemnego zadania jego obserwacji. Byłem w banku, co tu dużo gadać, jedno z najlepszych miejsc do studiowania zachowań wyuczonych. Wystarczy jedynie spojrzeć na sposób, w jaki ludzie poruszają się wewnątrz. Wystarczyło tu spojrzeć na pana X oraz grubawego pana Wiesia – co za natychmiastowa przemiana, piękne i oszłamniające było to studium kontestacji. Sposób, w jaki odnosili się do siebie, sposób, w jaki odnosili się do obsługujących ich pracowników bankowych, którzy poniżająco traktowali mało wyrafinowane wyglądających, pocziwych starszych panów, którzy to, można powiedzieć z prawie z duchową pokorą, cierpliwie znosili ich chłodne, dominujące głosy chłostani ich nieprzyjazywnymi spojrzeniami.

Nie podobało mi się to, przestało mi się tu w ogóle podobać. Chciałem wstać, podejść do okienka, wyciągnąć chuderlawego piękniśa ze starannie nażelowaną fryzurą zza jego szklanej wystawki i niewyrafinowanie dać mu w zęby albo może wyrzucić go na środek sali i tam skopać. Przez głowę przelatywało mi wiele różnorodnych sposobów z tych oraz minionych czasów, w jakie mógłbym ukarać przyznanego amanta za brak szacunku dla starości i prostoty, która jest piękną i nadzwyczaj rzadką dzisiaj cechą. Zaczęłem tonąć w najciemniejszych wydarzeniach historii, zapomniałem już o nierozumnym gogusiu – utonął w morzu ciemności, był malutką kroplą rozdartą na cząsteczki przez szalejące fale, zniknął, nie liczył się wobec ogromu okrucieństwa, którym obdarzali się ludzie. Myślałem o inkwizycji hiszpańskiej, o 20 milionach zabitych w imię Boga, o wojnach, o politykach, którzy z dumą prowadzili ludzkość ku zagładzie, o kozie Judaszu wytresowanej przez pasterzy, aby prowadzić owce do rzeźni, o podbojach Tiglatpilesara 3, o walucie Korei Północnej, o handlu niewolnikami, o ścianie w samym środku Europy dzielącej piękne i straszliwe miasto, i o upadku cesarstwa Rzymskiego, i o podążającym za tym chaosie.

O tym właśnie zacząłem myśleć, rozkręciłem się w nie tę stronę, nie tędy, trzeba zawrócić, trzeba przestać, trzeba jeść pięć posiłków dziennie i nie doprowadzać do odwodnienia, wierzyć w swój własny świat, pierwszą i drugą zasadę miłości, łagodności i piękna. Zaczęłem myśleć od nowa, nie dało się tu nic naprawić, trzeba było

wszystko zacząć od początku. Wyjść, wyjść natychmiast i zaczepić wzrok o gładkie grzbiety ptaków i nadciągające z dalekich krajów chmury, na których jeszcze można dostrzec niedawne spojrzenia pełne marzeń ludzi jak planety wspaniałych i jak one odległych.